W kraju palm i słońca – 7

26 października 2022
Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

W Lucenie i w Polonii

Lucena, miasteczko w przyszłości, prócz posterunku policji posiada kilka ładnych domków niemieckich i włoskich, hotel polski z wendą i dosyć małych dworków kolonistów polskich; od niej ciągną się drogi w różnych kierunkach, wiodące do poszczególnych grup kolonii. Takich grup jest czternaście, istnieje tysiąc działów, każdy mniej więcej od 25 hektarów (hektar równa się 1,786 mrg. nowop.). Wzdłuż kilometra drogi osadza się z reguły czterech z jednej, czterech z drugiej strony, z odpowiednią ilością gruntu; stąd wielkie odległości od centralnego punktu, dochodzące 40 kilometrów.

O ile takie odosobnienie działów wpływa korzystnie na możność dowolnego rozwoju gospodarki polnej, usuwa nieporozumienia i kształci samopomoc, o tyle znów wzmacnia i tak już silny popęd indywidualizacji, a dzieciom utrudnia naukę szkolną, tak że najwłaściwszą formą byłyby pensjonaty półtygodniowe, które przy nadzwyczajnej taniości produktów spożywczych pociągnęłyby koszt mniejszy aniżeli wysyłanie dziecka o dziesiątki kilometrów.

Na wynajętym koniu puściłem się do kolonii Polonia, o jakie pięć kilometrów od Luceny, gdzie mieszka kolonista Jan, który nas przywiózł. Po drodze, w głębi – domy, w rodzaju dworków szlachty zagonowej, ogrodzone, a tuż grządki warzyw i kartofli. Gdym otwierał wrota, wybiegł gospodarz, twarz ogorzała, przyjemna, rozjaśniła się uśmiechem.

– Niechże Bóg da zdrowie, że pan przyjechali! – wołał, ściskając rękę serdecznie.

Dom ani gorszy, ani lepszy od innych, może tylko staranniej utrzymany. Z lewej strony przed domem palma, z prawej, za sztachetkami, wysoki, osypany kwiatami oleander, dalej drzewo mirtowe i sad z fig, pomarańcz, czereśni (portug. cereja) i śliwek (portug. ameixas), ani tak smacznych, ani przyjemnych, jak nasze; w głębi za domem sosny brazylijskie.

Wyszła i gospodyni, matka czworga dzieci, zapraszając do domu.

Z sieni, idącej na przestrzał, z lewej strony mała kuchenka, w której nikt nie sypia, obok pokój do przyjęć; naprzeciw kuchni z prawej – sypialnia, a dalej warsztat gospodarski.

W świetlicy krzesła wyplatane i gładkie, z foremną, drewnianą kanapką, stolik nakryty serwetą, na ścianie Matka Boska Częstochowska, św. Anna i św. Józef, jakieś zblakłe fotografie i lusterko.

Gospodyni zakrzątnęła się i wniosła po chwili jajecznicę, masło, twaróg i chleb żytni, wszystko na białych talerzach.

– To już rzadkość w Brazylii masło i twaróg! Poznać doskonałą gospodynię.

– Iii, jaka ja tam gospodyni, chowają się krowy, to i jest – mówi zadowolona.

– Nie ma co i gadać, o lepszą trudno – chwali się mąż żoną.

Dzieciaki czysto ubrane, umyte.

– A gdzie Józek? – pyta ojciec. – Idź no, Walek.

Wszedł wysoki, trochę niezgrabny wyrostek.

– To mój syn.

– Ależ wyrósł! Ileż ma lat?

– Będzie piętnasty. Na słońcu, to i rośnie. Ten jeden z kraju.

— Miałabym ich ośmioro, ale czworo mi zmarło, jedno na morzu, a troje w tej nędzy, cośmy przeszli — żali się matka. — Reszta to tutejsza.

— Ale zawsze Polaki — dodaje ojciec.

Wyszliśmy.

— Ładną macie palmę, gospodarzu.

— Drzewo nicpotem, lepsza nasza wierzba, ale aby było co wziąć na Palmową, to i rośnie sobie.

Oglądam gospodarkę. Stajenka mała nie pomieści koni i bydła.

— To tylko dla źrebiąt i cielaków — objaśnia gospodarz — bo całe gado (portug. gado, bydło) przez rok na kiempie (portug. campo, pole, pastwisko), a jak koniom w drogę, to dam milii i jazda!

Krowy wielkie z małymi wymionami pasą się w zagrodzeniu.

— Na tu, siwucha! — woła gospodyni. — Miałam, panie, kłopotu co niemiara, nim z tych dzikusów zrobiłam krowy. Teraz to jeszcze przypuszczam cielęta, ale Pan Bóg da doczekać, to odłączę, aby było jak u nas.

Zwrot: „jak u nas” jest ciągle na ustach kolonistów. „U nas” zawiera wszystko dobre, porządne, uczciwe — to cała cywilizacja, którą wyniósł chłop z kraju, to cała przeszłość, którą przeżył, która przez morza i lądy wydaje mu się czysta, jasna, brylantowa.

Idziemy w pole: żyto ładne, wysokie.

— Jak przyszliśmy, żadnym dziwem bywało sto dwadzieścia ziarn, a dzisiaj da sześćdziesiąt, może więcej, a może mniej.

Obszerny grunt, cały pokryty świeżo ściętymi krzami, z ledwie więdniejącymi liśćmi; gdzieniegdzie leży spróchniały pień grubego drzewa.

— To „rosa”… jak przeschnie potęga (portug. putinga, gatunek trzciny drzewiastej), podpalę. Rola pod milię byłaby dawno gotowa, ale deszcze przepadają.

Portugalskie roça, uprawianie gruntu przez trzebież, rodzaj ugoru trzy do czteroletniego, bywa najpowszechniej używane przez kolonistów, którzy po spaleniu, poruszywszy lekko motyką, sadzą w otwory, zrobione kołkiem, po kilka ziarn kukurydzy.

— Ileż wam daje milia?

— Bywa po sto pięćdziesiąt ziarn, jak pod jaki rok. Aby nie te małpy, bo to takie zmyślne nikiej chłopcy psotniki! Nawiążą to sobie snop milii i hyc w las, a stróżliwe… no i te ptaszyska zielone — wskazał papużkę — i te psują, ale zawsze ostanie dla nas dosyć, aby dopilnować.

— Może byłoby lepiej uprawiać z roku na rok pole, a dodawać popiołu, kiedy po spaleniu rodzi.

— Abo ja wiem, czy z popiołem urodzi? — uśmiechnął się. — A gruntu i tak dosyć.

— Ale jak syn dorośnie i ożeni się?

— Zrobię jak inni: wezmę mu nowy szakier, niech pracuje.

Chłop nasz przywiózł do Brazylii umiejętność gospodarczą, jaką posiadł w kraju. Tu, bez względu na glebę i stosunki atmosferyczne, wciska swoje zboża i warzywa. Nikt chemicznie nie zbadał tej nowej roli, nikt mu nie poradził, nie pomógł, a że z wyjątkiem batatów, nic tu nie znalazł nowego, nic też sobie nie przyswoił. Chwila, gdy znajdzie stosowne do klimatu i gruntu produkty, będzie przełomowa w gospodarstwie Parany; dziś gospodaruje on tu i nad morzem (kolonia Capivary, pod Santos, klimat tropikalny), jak mu każe tradycja, a mając pod dostatkiem ziemi, ugoruje, marnując dużo zabiegów, pracy i czasu.

Już i południe, słońce pali, z ziemi bije parne gorąco, owady lecą z bzykiem, piękne motyle fruwają; ale gorąco nieznośne, na które mój gospodarz, w grubej kamizeli, spodniach, podtrzymywanych pasem, w butach wysokich, wcale nie zważa ani narzeka.

Jak wielki chrabąszcz zabrzęczał nad kwiatem koliber; trzepocąc nieustannie skrzydełkami, zaglądał w ten i ów kwiat. Stanąłem.

— To burczak, panie, drobną ptaszyna. Jeden miał gniazdko w szopie, na włosku to wisiało.

— Dzieci nie zdjęły?

— Zakazałem… Widzi pan, jak zagląda w każdy kwiatek i zjada muchy: takie to małe a przemyślne!

Idziemy dalej.

— Ach, jakie gorąco! — narzekam.

— Teraz to nic. Najgorszy u nas czas to marzec i kwiecień: wyspy (portug. vespa, osa, mucha zjadliwa) ćma, chrobaków moc… a wtedy i żniwa.

— Jakich chrobaków?

— To nie byle jakie chrobaki — śmieje się gospodarz — to gady; jak utnie, to tylko wypalić.

— I często kąsają?

— Jak nadepnąć, to i ugryzie, a niedawno jednego Brazylucha ciapnął w twarz, i umarł.

— Nachylił się? Spał?

— Nie, ino gad był na drzewie, a on go potrącił.

— A zwierzyny w lasach dosyć?

– At, co ta za zwierzyna tutaj: świnie i kociska! Ale spyta pan Grzeli, ten rozpowie, bo temu las zawsze pachnie – i wskazał ręką jeźdźca, który krótkim galopem (to zwykły chód tutejszych koni) zbliżał się do domu.

Wkrótce podała gospodyni obiad; była kura gotowana, czarna fasola, nazywana z portugalska fejżonem (feijao), z mięsem suszonym, zwanym przez kolonistów siarką (port. charque, mięso wędzone i osolone). Był w gościnie Grzela, a później przybyli konno trzej inni osadnicy, wszyscy uzbrojeni w faki i pistolety. Ludzie z poczuciem samodzielności, z ruchami przyjemnymi, ubrani po miejsku, czysto i dostatnio.

– Cóż tak zbrojno? W biały dzień?

– Kto ta wie, co kogo może spotkać: albo buger zajdzie z boku, albo borowy zacznie zwadę.

– No i biszo się trafi – zaśmiał się Grzela.

– Co to jest biszo?

– Tak Brazyluchy nazywają zwierza.

– Po cóż wyraz brazylijski?

– Już ja to panu wytłumaczę – pospieszył wysoki, chudy, żylasty blondyn z wąsem zawiesistym.

– Gadajcie, Adamie – zachęcił gospodarz.

– U nas, panie, zwierz to wilk, lis, sarna, dzik, ale tu takich nie poświci. Ot, kociska, puma bojaźliwa, tygr, co go zwą jaguarem, żbik jak nasz wielki kot i małe dziki…

– A małpy, a ryjowce, a kapibary – przerwał mu Grzela.

– Iii… małpy to bez mała człowiek, ino, że leśny, z ogonem; no, a te szczurzyska, co z nich komu? – odparł lekceważąco.

– Po cóż biszo?

— Bo u nich biszo (portug. bicha, robak, wąż, zdrobniale każde zwierzę) to gad, zwierz, wszystko, co żyje w lesie.

— A może panu herwy? — spytała gospodyni.

Podziękowałem, nie znajdując w niej nic przyjemnego.

— E, daj spokój z herwą! — dodał mąż. — Lepsza kawa, bo herwa to nie przymierzając nasza woda ze stawu, tyle co osłodzona.

Wszyscy obecni zaśmiali się, przytakując tym słowom.

Posypały się pytania o kraju, o naszych urodzajach, pogodzie, o wsi, miastach, kolejach.

— No, a jakże z podatkami, z wojskiem? — dopytują, przeszedłszy bowiem sami nadzwyczajne zmiany w ciągu kilku lat, przypuszczają, że wszystko inne musiało się także zmienić.

— Podatki są, jak były, a do wojska biorą rekruta.

— To tutaj lepiej; nie znamy już tego.

— Aby tylko był rząd i porządek!

To żądanie stawiają wszyscy koloniści, jako ludzie uspołecznieni.

— Więc wam tu dobrze?

— Hm… teraz to nieźle, Bogu dzięki, ale zobacz pan cmentarz, spytaj pan, ilu zginęło, zmarniało, przepadło: to bez mała co dziesiąty z nas żyje tutaj.

— A pan tu na robotę czy z fachem?

Gdy się dowiedzieli, że wracam, po krótkim zdziwieniu widać było zazdrość, a potem nauki i przestrogi.

— A niech pan ludziom rozpowie, że w Brazylii ciężko.

— A bez grosza niech nikt nie jedzie, bo sparszywieje i zginie.

— Teraz gruntu darmo nie dają!

— I żadnej roboty na przeżywienie.

Pijemy piwo, warzone w domu, przybyli nowi goście i rozmowa schodzi na politykę tutejszą.

— Co mi tam te brazylijskie wybory! Niech bierze ten albo ów pensję z kasy, ale niech drogi naprawi, mosty poładzi…

— Słyszałem w mieście — odzywa się jeden — że jak wybierzemy doktora (przywódca maragatów, dr Pereira), to zmaże nam cały dług za ziemię.

— To samo mówi i adwokat! (W. Machado, przywódca pikapauów) — zaśmiał się drugi.

— Ot, puste gadanie: i tak nie płacimy.

— Jak to, nic nie płacicie? — spytałem, wiedząc, że kolonista powinien rządowi zapłacić za ziemię, dom i zapomogę, razem 250 milrejsów w sześciu ratach rocznych.

— Z początku to i niektóry zapłacił, ale jakeśmy się zwiedzieli, co to za rząd, nikt nie płaci.

— A jak się upomni, jest na egzekutora sposób! — i ze śmiechem podniósł pięść w górę.

Już ściemniało, zdecydowałem się zostać na noc, aby rankiem pójść z Grzelą w las dziewiczy.

Na krótko przed rozstaniem wyprowadził mnie Adam z pokoju, by pomówić ze mną na osobności.

Wieczór był bezksiężycowy, tym jaśniej błyszczał na niebie Krzyż Południowy i Trójkąt. Ze wszech stron słychać było piewiki (cykady), wydzwaniające jednostajnie, a w zaroślach,

na krzach, wokoło przefruwały świetliki (Elateridae), niektóre tak jasne, że rzucały odblask na bliższe przedmioty.

— Śliczny wieczór — rzekłem, zachwycony nowym wrażeniem i widokiem.

— Ale nie nasz — westchnął Adam.

— O czymże mieliśmy mówić? — spytałem po chwili.

— Ja, panie, szlachcic z Łomżyńskiego, trudno było wyżyć z familią na czterech morgach, przyjechałem do Brazylii… Co pan gadał, to dla nich, aby chłopy rozumieli; a co mi pan teraz powie? Co tam u nas?

— …

— Bo widzi mi się, że pan coś ukrywa; bo i po co było panu przyjeżdżać aż do Brazylii, takie morza, taki kraj świata? Jeśli pan po ludzi przyjechał, ja, panie, zaraz gotów wrócić.

— Istotnie, nie rozumiem.

Odciągnął mnie spod domu aż pod palmę i szepnął:

— Powiedz pan prawdę. Jeśli u nas zaczęła się już ruchawka, zaraz jadę z synami, bo co Polska, to Polska!

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki
Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”, Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków
Źródło internetowe: WolneLektury.pl
Licencja: CC BY-SA 4.0